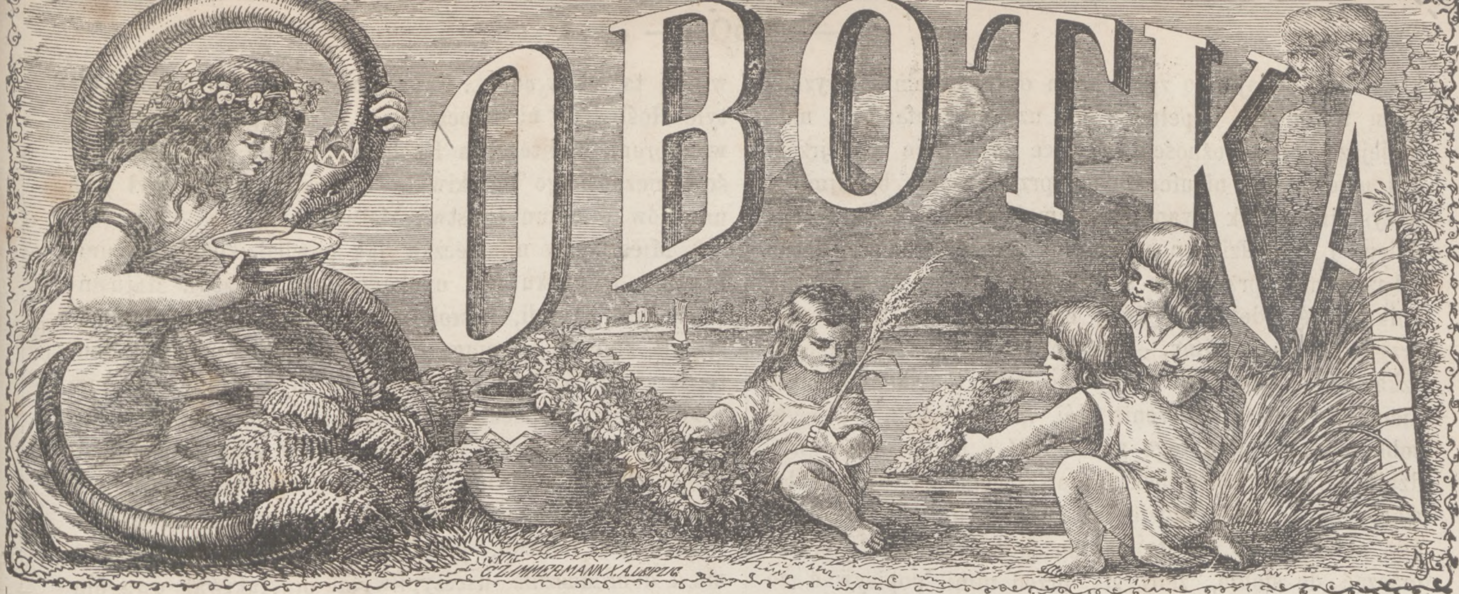


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 32. Poznań, dnia 6 Sierpnia 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

......

(Cząg dalszy.)

VI.

Burza.

Wypadek, który w powyższym opisaliśmy rozdziale, i dla domu państwa Matusińskich i dla całego miasteczka nową utworzył epokę. Państwo Matusińscy, powszechnym dotąd otoczeni szacunkiem, odgrywali, dzięki zabiegom pani Petroneli, rolę najpierwszych dygnitarzy. Ksiądz proboszcz skromny nadzwyczaj prowadził żywot i z obywatelami miasteczka tylko w niezbędne wchodził stosunki; pan Filip, chociaż ujmującém wzięciem i interesami wielu sobie zjednał przyjaciół, nie miał jednak po śmierci pani Kunegundy téj zewnętrznéj reprezentacyi, która jest objawem i probierczym za zwyczaj kamieniem zdobytego znaczenia i wpływu. O utrzymanie téj reprezentacyi starała się usilnie pani Petronela. Pomimo poczucia szlacheckiéj godności ze wszelkiemi zamożniejszemi rodzinami miasteczka przyjazne utrzymywała stosunki, oddawała i odbierała formalne odwiedziny, zapraszała do siebie na kawy i herbaty i dom na towarzyską urządziła stopę. Pańskie to wzięcie pochlebiało ambitnym umysłom obywatelstwa, które w niczem po za „stolicą“ poznańską pozostać nie chciało, i dla tego państwo Matusińscy pozyskali rychło znaczenie najpierwszéj miasteczka rodziny. To znaczenie jednakże na glinianych tylko spoczywało nogach. Pani Petronela nie uważała bynajmniéj, że podobne wyniesienie się po nad drugich w małém mianowicie miasteczku staje się powodem skrytéj drobnostkowéj zazdrości. Łaskawe sąsiadki, chociaż na zewnątrz grzeczne i uniżone, nie mogły jednak darować pani Petroneli jéj małego domeczka, pomarańczowych mebli, obić różnowzorych, tiulowych firanek, piękéj „porcyneli“ słowem znacznego jéj dobytku i z każdéj herbatki wynosiły serca drobnostkową przepełnione nienawiścią, wynosiły tysiące uszczypliwych uwag i spostrzeżeń, które się stawały przedmiotem cichych, pokątnych ploteczek. Główną jednakże wadą, któréj szanowne obywatelki zapomnieć nie mogły bogatéj sąsiadzce, było właśnie szlacheckie jéj pochodzenie. Pani Petronela przyczyniała się wprawdzie niekiedy swojem zimném pańskiem obejściem do podsycania téj ukrytéj nienawiści, le jak to bywa zazwyczaj, przypisywano jéj dziesięć razy tyle dumy i ambicyi, ile jéj miała rzeczywiście. Każdy jéj krok surowéj podpadał cenzurze, każde jéj obojętne spojrzenie było spojrzeniem dumy i pogardy, każdy jéj uśmiech uśmiechem litości i lekceważenia, a każde przyjacielskie wzięcie obłudą i obrachunkiem!... Ta bezpodstawna podejrzliwość, to umyślne upatrywanie nie istniejących wad i słabości jest jednym z głównych błędów średniéj warstwy naszego społeczeństwa, jednym z potężnych hamulców ogólnéj harmonii i zgody. Herb — to przekleństwo już dzisiaj, to fatalizm, który nad najszlachetniéjszym człowiekiem od kołyski ciąży do grobu Kto go posiada nieszczęściem jest już tem samem arystokratą, nieprzyjacielem ludu, wolności i równego wszystkich stanów uprawnienia. Kto się usunąć stara z pod tego uprzedzenia, kto z duchem czasu postąpić usiłuje,

kto dłoń podaje do zgody, ten obłudnikiem i faryzeuszem ten nigdy zupełnego nie uzyska zaufania, a najmniejszą nieostrożnością tysiące wywołuje podejrzeń. Téj przewrotnéj nieufności nie przypisujemy bynajmniéj wszystkim z tak zwanych „demokratów.“ Kto, rozsądkiem i prawdziwém odbarzony wykształceniem, jasno i bezstronnie przygląda się stosunkom, ten z łatwością uniknąć jéj zdoła; większéj części jednakże z boleścią przypisać ją musimy. — Szanowne obywatelki miasteczka D. skrytą więc przeciwko pani Petroneli płonęły nienawiścią i upokorzenia téj „arystokratki“ życzyły sobie gorąco. Dla tego wiadomość o niefortunnéj swadźbie państwa Matusińskich powszechne wywołała zadowolnienie. — „Nie będzie już ona więcéj nosa zadzierać nad nami!... Bo czy to jest po chrześcijańsku ludzi zapraszać do siebie, żeby się przed nimi popisywać ze swoim dobytkiem, żeby im na każdym kroku ich ubóstwo dać uczuć, żeby im pokazać co to mieć może „ślachcionka.“ A dziękiż też, dzięki panu Bogu że ją ktoś przecie rozumu nauczył!... Podobne wyrażenia, podobne uszczypliwe uwagi najrozmaitszémi ubarwione plotkami, po całém obiegały miasteczku; nie wstydzono się bynajmniéj tryumfować głośno i otwarcie, a usłużne kumoszki, które z pociechą i kondolencją przychodziły do pani Petroneli, z wielkiem opowiadały zgorszeniem, co też to plotą na mieście... Takie upokorzenie w obec całego obywatelstwa i taka z jego strony niewdzięczność strasznie dotknęły panią Petronelę. Biedna kobieta zachorowała ze zgryzoty i dawne straciła usposobienie. Jéj duma złamaną została zupełnie, a w miejsce téj wstąpił pewien rodzaj cichéj zbolałéj rezygnacyi, z jaką wszelkie znosiła następstwa. Pan Walenty całkowitą w domu uzyskał przewagę, bo Pani Petronela, przygnieciona ciężarem swéj winy, poznawszy słabość swéj umysłowéj wyższości, złożyła niejako koronę i bez żadnego szemrania mężowskim poddała się rządom. — Pan Walenty nie nadużywał bynajmniéj zdobytéj znowu przewagi, nie obarczał strapionéj małżonki bezskutecznémi wyrzutami, zwolna uspokoił się w swym gniewie i na zimno obmyślał plan zemsty. Tak długo tajona nienawiść słuszną nareszcie do wybuchu znalazła przyczynę pan Walenty poprzysiągł korzystać z niéj należycie. — Bałabartek, bo i o nim słów kilka nadmienić wypada, w krótkim czasie do zwykłego powrócił usposobienia. Jest to jedną z wielkich zalet ludzi ograniczonych, że wszelki smutek przemija u nich szybko, że łatwo do wszelkich zastosują się konieczności, że skoro osiągnąć rzecz jaką widocznem jest dla nich niepodobieństwem, spoglądają na nią spokojnie jak lis na winogrona i w krótce pocieszą się całkiem. Bartoś odkochał się znowu, powiedział sobie „Ej, cóż tam, znajdę ja jeszcze i lepszą!“ i przestał myśleć o Zosi; wszelkie uwagi i przycinki zbywał milczeniem, uśmiechem, albo chełpliwém lekceważeniem téj sprawy. — Kachna zaraz nazajutrz do ulubionéj podążyła Zosi i śmiejąc się i płacząc zarazem, powinszowała jéj serdecznie tak łatwego pozbycia się obydwóch niemiłych zalotników. — „Czy uwierzysz!“ mówiła z zapałem. „Kubuś szalenie rozkochał się wemnie... Wczoraj ukląkł przedemną na polu i z rozpaczą błagał o wzajemność!... Ale zimną byłam jak skała, kazałam mu ruszać do domu i nie powtarzać więcéj takich bredni... Ukarałam go teraz porządnie za tyle złośliwych niegrzeczności!“... A tegoż dnia jeszcze wieczorem, nielitościwa Kachna z obawą i niecierpliwością nieznośnego oczekiwała Kubusia!.. Taki był stan umysłów w domu państwa Matusińskich. —

Mieszkańcy miasteczka, jak powiedzieliśmy, tryumfowali z początku nad upokorzeniem państwa Matusińskich, lecz powoli, powoli w ich umysłach zupełna nastąpiła zmiana. Zmiana ta była dziełem pana Walentego. Pan Walenty nie uląkł się bynajmniéj tak nieprzychylnego usposobienia obywateli, nie szukał w samotném odosobieniu ochrony przeciw szyderczym pociskom, lecz przeciwnie z zupełnym spokojem odwiedzał grono znajomych, spowiadał się każdemu ze swoich zawiedzionych nadziei, przyznawał się wręcz do upokorzenia i dobrodusznie uszczypliwym przytakiwał uwagom. Postępowanie to w krótkim czasie obfite przyniosło owoce. Pan Walenty oskarzając się i unizając w oczach obywateli, dalszym prześladowaniom silną położył tamę; zjednał sobie wszystkich powoli, uzyskał współczucie i litość, słowem stał się niewinną ofiarą, nad którą znęcać się wielkim byłoby grzechem, którą przeciwnie pocieszać i wspomagać chrześciańską było powinnością. Mieszkańcy miasteczka, doszedłszy do tego przekonania, musieli naturalnym biegiem rzeczy na sprawcę tego nieszczęścia niezbyt przyjazném spoglądać okiem. Dzięki zabiegom pana Walentego, Ksiądz proboszcz w krótce popadł w niełaskę. — Trudném jest w rzeczy saméj położenie małomiejskiego proboszcza. Jako kapłan, jako człowiek godnością i intelligencyą najpierwsze zajmujący miejsce, musi on zawsze względem parafjan swoich należytą zachować powagę, zawsze wyższość swoją stosownem okazywać wzięciem, zawsze odrębne zajmować stanowisko; z drugiéj strony jednakże, jako pasterz swoich owieczek, jako stróż i opiekun duchowego ich dobra, musi koniecznie pozyskać ufność i przywiązanie parafii. Nic trudniejszego, jak pogodzić dwa te warunki. Małomieszczanie nasi posiadają obok wielkiéj stosunkowo ciasnoty umysłowego widnokręgu nadzwyczaj rozległe pretensje; zbytnia więc nieprzystępność drażni ich i odstrasza, a zbyt przyjacielskie obejście do szkodliwéj ośmiela poufałości. Téj to poufałości ksiądz Teofil obawiał się jak ognia i dla tego po za obrębem swoich obowiązków w żadne z parafjanami nie wchodził stosunki. Tém wyłączeniem się z ich grona, tą zimną bezwzględną szorstkością, która całe jego piętnowała postępowanie, zyskał wprawdzie ze strony obywatelstwa pewien rodzaj bojaźliwego szacunku, ale nie mógł pozyskać przywiązania. Mieszkańcy miasteczka D. nie zapomnieli bynajmniéj, że proboszcz w wieśniaczym urodził się stanie, i nieważając na wyższość jego duchową, w gruncie rzeczy za lepszych uważali się od niego, — oni, obywatele z dziadów, pradziadów!... Łatwo więc sobie wyobrazić, że zgoda między parafją a proboszczem była tylko zawsze bardzo powierzchowną. Oparta na dwudziestoletniem przyzwyczajeniu, na obawie i uciążliwym szacunku, pozbawiona natomiast jedynie trwałéj podstawy, — przywiązania i ufności, szczęśliwym tylko okolicznościom dotychczasową zawdzięczała trwałość. Jedno jednakże nieporozumienie, któreby ogólny wzbudziło interes, jeden krok ze strony któregokolwiek z obywateli, któryby ro-

zwiać się ośmielił ów nimbus nietykalności, dotychczas otaczający proboszcza, i pierwszy wypowiedział otwarcie, co wszyscy myśleli tajemnie, byłby wszystkich natychmiast do otwartéj spowodował wojny. Krok ten uczynił pan Walenty. Przekonał on bez trudności sąsiadów że postępek proboszcza był właściwie dla całego miasteczka bardzo dotkliwą obrazą. „Tak jest,“ mówił pan Walenty, rzecz tę z politycznego osądzając stanowiska, „względem proboszcza, względem obcego człowieka, który się z nami ani urodził, ani wychował, który naszych myśli i zamiarów podzielać nie może z téj przyczyny, powinniśmy zawsze wystąpić w jedności i zgodzie. Obraził z nas któregokolwiek, obraził zarazem i wszystkich i wszyscy o naszą krzywdę dopomnieć się musimy. A z resztą“ dowodził daléj pan Walenty, „czyż mi nie powiedział wyraźnie, że całe miasteczko za głupie dla jego siostrzenicy, że tu niema żadnéj partii dla wykształconéj i dobrze wychowanéj panienki?

Czyż to nie dosyć wyraźna obraza?... Jak długo pozwolimy jeszcze pomiatać sobą w ten sposób?... Pokażmy raz przecie, do kata, że i my się znamy „na honorze,“ że chłopskim synom, chociaż i w reverendzie, przewodzić nad nami nie wolno!“... Podobne przemowy, które pan Walenty przy każdéj miewał sposobności, podbudzały strasznie dumę i ambicyą obywatelstwa. Każdy, prócz téj ogólnéj krzywdy, tysiączne, prywatne obrazy zarzucał proboszczowi, każdy miał powód do gniewu i zemsty. Niejeden zapewne z łaskawych czytelników miał już sposobność przypatrzeć się takiéj wojnie małomieszczan przeciw duchownéj ich władzy i ze zgrozą poznał zapewne, jak zjadliwą i nieprzebłaganą staje się taka nienawiść. Obok śmiesznych i drobnostkowych zarzutów, wynurzają się częstokroć ważne i niebezpieczne podejrzenia które raz nabrawszy rozgłosu, już nigdy z umysłów parafjan zupełnie ustąpić nie mogą. Całe życie biednego proboszcza surowéj podlega cenzurze, najdrobniejsze uchybienie, nawet w czczéj formie niekiedy, jest już przestępstwem i zbrodnią, a każdy punkt nie jasny, każda w jego życiu zagadka najfatalniejsze znajduje tłomaczenie. Argusowe oczy obywateli miasteczka D. skwapliwie rozpoczęły śledzić wszelkie proboszcza czynności. W kazaniu znajdywano zawsze jakąś do pewnych osób alluzyą, nabożeństwo zawsze wychodziło zbyt późno, chociaż szanowna pani Piotrowa, która w tym względzie obywatelom za chronometr służyła, ze zbytniéj gorliwości przed oznaczoną przybywała godziną, porządek w kościele, na cmentarzu i kościelnych przyborach nigdy nie uszedł nagany, każdy wyjazd proboszcza tysiące obudzał ploteczek, a stosunki jego z okolicą w najniegodniejszych przedstawiano barwach, — słowem, była to „szykana,“ któréj szczegółów wyliczyć niepodobna!... Ksiądz proboszcz takim zwrotem rzeczy zasmucił się nadzwyczajnie; po tylu latach pracy i zasługi tak okropnéj doznał niewdzięczności!... Bez uchybienia swéj powadze nie mógł przeciw zarzutom otwartego uczynić kroku i dla tego obojętny na pozór, żadnéj na ogólne wzburzenie nie zwracał uwagi. W oczach obywateli było to lekceważeniem i pogardą i wzbudzało tém więcéj ich nienawiść. — Z tego stanu rzeczy zgrabnie korzystał Piórkiewicz. W zględem mieszkańców miasteczka zawsze grzeczny i słodki, umiał na wszelkie o proboszczu pytania i uwagi dwuznaczne i niejasne dawać odpowiedzi i w ten sposób całkiem nieoznaczone zająć stanowisko. Każdego zaś wieczoru cichaczem podążał do księdza i obszerne przynosił mu sprawozdania, uskarżając się zarazem, ile to prześladowań za swoją wierność ze strony obywatelstwa ponosi!... Tak dyplomatyczne stanowisko nie łatwo było utrzymać Piórkiewiczowi; rychło i on obudził podejrzenie i jako szpieg proboszczowski, w ogólną popadł pogardę. O ile los ten dotknął Piórkiewicza, któżby to z jego słodkiéj mógł wyczytać twarzy?... Piórkiewicz zdawał się niewiedzieć usposobienia obywateli i nadal bardzo przyjacielsko i poufale występował pośród ich grona — W niemniéj przykrém położenia znajdował się szanowny pan Filip. Wiedział on bardzo dobrze, że w podobnych zaburzeniach nigdy strona zaczepiająca zwycięztwa odnieść nie może, że pan Walenty prędzéj czy późniéj sam sobie upadek zgotuje i dla tego cieszył się niezmiernie nad tak niespodziewanym skutkiem swych wojennych kroków. Tymczasem niejeden z obywateli miasteczka, zaniepokojony tak drażliwym i niebezpiecznym stanem rzeczy, do kochanego pana Filipa z ufnością przychodził po radę. Pan Filip nie mógł oczywiście przyłączyć się do stronnictwa pana Walentego, nie mógł nic mówić przeciw proboszczowi, a z drugiéj strony niechciał bynajmniéj obywateli oświecić i odwieść od buntowniczych zamysłów, obawiając się rozległym swym wpływem podkopać znaczenie pana Walentego i w ten sposób uratować go od zguby, którą w gorszym daleko stopniu własną gotował sobie ręką. Panu Filipowi wziętość i znaczenie, jakie uzyskał w miasteczku, po raz pierwszy ciężyło na barkach. Z początku zręczną dyplomacyą neutralne chciał zająć stanowisko, a w krótkim poznawszy czasie, że na jedną lub drugę stronę przechylić się trzeba koniecznie, zamyślił aż do stosownéj chwili zupełnie ustąpić z widowni. Pan Filip zachorował na przekór i na czas nieograniczony dla nikogo prawie nie był widzialnym. Mieszkańcy miasteczka nie całkiem wierzyli téj chorobie, ale żaden przeciw pieniężnéj potędze otwarcie wystąpić nie myślał. Biedny pan Filip, przesiadając godzinami na swéj wytartéj kanapie i rozmaite nad ulowieniem proboszcza obmyślając plany, nie przeczuwał bynajmniéj że nieuwagą swoją nieprzełamaną gotuje sobie zaporę, nie wiedział zupełnie, co się dzieje w sercu Kubusia!... Para zakochanych korzystała z ogólnego zamięszania i, czując się wolną od śledztwa, codzień godzin kilka na rozkosznéj spędzała pogadance. W obec tak ważnych wypadków, któż na nich mógł zwrócić uwagę!...

Dnia jednego, po zachodzie słońca, w ciasnéj pana Walentego cukierni mnóstwo zgromadziło się gości. W dziejach téj cukierni był to nadzwyczajny wypadek; ciasny ten bowiem, chociaż porządny pokoik, z bufetem w kilka ciastek, a wielką liczbę „kordyałów“ opatrzony, nie przyciągał ku sobie obywateli, którym swobodniéj było i miléj w gościnnym domu pana Filipa. Czasem tylko niedoświadczony podróżny zabłądził w te progi, czasem który z mieszkańców miasteczka, gdy z niemiłym przybywał interesem, chcąc sobie nadać odwagi, a gospodarza złagodzić troszeczkę, wychylał wódki kieliszek, czasem lubownik polityki nad Dziennikiem przepędzał godzinę, lecz zresztą próżno tam było

zazwyczaj. Tak liczne więc dnia tego zgromadzenie nie mogło być dziełem przypadku; przeciwnie, wzajemna umowa, jakiś cel ukryty a ważny objawiał się na twarzach i w postępowaniu zebranych. Każdy milczał i w zamyśleniu spoglądał przed siebie, nowoprzybyły nie witał się z nikim, a pan Walenty siedział przy oknie i głowę oparłszy na dłoni, jakieś pismo przebiegał oczyma. Do tego usposobienia obywateli przyczyniała się widocznie obecność Piórkiewicza, który podług starego zwyczaju przybył na codzienną godzinkę polityki i spokojnie usiadłszy przy piecu, cały zatopił się w Dzienniku. Obecność jego zgromadzonym nie przypadała do smaku; spoglądano na niego z ukosa, pokaszliwano dosyć znacząco, półgłosem różne szeptano uwagi, — ale Piórkiewicz ogłuchł i oślepł na wszystko.

„Panie Walenty,“ szepnął Matusińskiemu pan Susełka, „nasamprzód pozbyć się trzeba nieproszonych gości. Jako gospodarz masz zupełne prawo wyprosić nauczyciela.“

„A cóż to?“ dosyć głośno odparł pan Walenty. „Czyż tu jakie spiski knujemy kryjomo?... Czyliż nasza prawda nie jest otwartą i jawną? Słuszność, panie sąsiedzie, nigdy się światła nie lęka!...

Piórkiewicz téj rozmowy nie słyszał zapewne, bo wyraz jego twarzy pozostał niezmiennym.

„Do rzeczy, moi panowie!“ głośno zawołał pan Waleny, występując na środek pokoju.

„Tak jest, do rzeczy, do rzeczy!“ za wtórował pan Susełka, chcąc nadać odwagi zgromadzonym. „Kto ma słuszność za sobą, panowie, ten nieprzyjaznych uszu lękać się nie ma potrzeby!“

W zebranem kole ogólne nastąpiło poruszenie, bo każdy znaczącą chciał przybrać postawę, każdy do stosownego gotował się wystąpienia. Piórkiewicz oczu nie podniósł z Dziennika.

„Panowie,“ zaczął pan Walenty, „cel naszego zebrania wszystkim wiadomy jest dostatecznie. Nie zajmujemy się bynajmniéj, panowie, jakim tajnym i niegodnym spiskiem, ale jako ludzie honoru stajemy tylko w obronie praw naszych i otwarcie sprawiedliwości domagać się będziemy.“

„Brawo, brawo!“ zawołali wszyscy ośmieleni odwagą pana Walentego.

„Spokojnie, spokojnie!“ odezwał się nosowo pan Susełka, który widocznie jakąś ważniéjszą chciał odgrywać rolę.

„Podług życzenia obywateli,“ ciągnął daléj pan Walenty, „spisałem wszelkie punkta zaskarżenia, jakie przeciwko władzy naszéj duchownéj konsystorzowi przesłać zamyślamy.“

W tym naprzód obmyślonym frazesie pan Walenty uniknął umyślnie fatalnego wyrazu „ksiądz proboszcz.“ Osoby, które mają jakiekolwiek jeszcze swéj niesłuszności poczucie przestrzegają częstokroć podobnych formalnych drobnostek. Pan Walenty miał nadzieję, że którykolwiek z obywateli usunie tę ostatnią zaporę, ale zgromadzeni w obec Piórkiewicza nie chcieli najmniéjszéj podnieść inicjatywy i milczenie trwało przez chwilę.

KORALE I WYSPY KORALOWE.

(Urywki z pamiętników naturalisty). (Z ryciną.)

(Ciąg dalszy).

Autorowie średniowieczni, kompilując albo téż tylko objaśniając starożytnych, w większe jeszcze popadli błędy, i pochodzenie roślinne korali zdawali się popierać niewątpliwemi dowodami. Pairesk w r. 1624 uczynił spostrzeżenie, iż z rozbitego korala wycieka płyn żółtawy, podobny do tego, jaki gałązka figowego drzewa wydaje będąc oderwaną od pnia; wniósł więc że korale, podobnie jak wszystkie rośliny, składają się z powierzchownego pokładu miękkiego i wewnętrznego rdzenia twardego, czyli z kory i drzewa koralowego. Hrabia Marsigli zaszedł jeszcze nieco daléj, gdyż zdawało mu się iż odkrył kwiatki na koralu; napróżno jednak szukał owoców i korzeni, lubo tych ostatnich, jak twierdził, koral, jako roślina morska, zupełnie nie potrzebuje, nie czerpie bowiem pożywienia z gruntu, ale z otaczającego żywiołu.

Nawet najsławniejsi uczeni owocześni nie mogli się wydobyć z pod całunu obłędu jaki cisnął ich zewsząd. Caesalpinus, Bauhinus i Lobelius, a nawet sam Tournefort, oświadczyli się za roślinném pochodzeniem korali, i kilka takowych, w osobne poskupianych rodzaje, umieścili w swoich botanicznych dziełach. Opierając się na takich imionach, nikt się téż nie poważył nawet myśléć inaczéj o koralach; mówić zaś i utrzymywać inaczéj, bez ściągnienia na siebie powszechnego szyderstwa i otrzymania patentu na waryata, było niepodobieństwem. Taka to wówczas panowała wiara w ludzi uczonych, takie poszanowanie „verborum magistri.“

W wiek po spostrzeżeniu Peiresk'a, to jest w roku 1723, młody badacz natury Peyssonnel rozpoczął nowe poszukiwania nad przyrodą korali, które zebrawszy, w r. 1724 akademii paryzkiéj przełożył. W téj swojéj pracy, idąc za zdaniem ogółu, uważa jeszcze korale za rośliny; lecz w dalszych poszukiwaniach, czynionych z rozkazu akademii na brzegach Afryki, dowodzi zwierzęcego ich pochodzenia Peiresk'a co do twardego wnętrza i miękkiéj kory, lecz objaśnia to zupełnie inaczéj, przyjmując iż twardy szkielet jest budową polipów, ich pomieszkaniem, kora niczém inném jak tylko naskórkiem, zrosłym z mękkich części ciał polipowych, owe zaś kwiatki Marsigliego okazały się drobnemi zwierzątkami, które z powodu swego rozłożenia promienistego i barw jakie przybierają, mają wielkie podobieństwo do kwiecia.

Odkrycia swe Peyssonnel komunikował najprzód sławnemu naturaliście Réaumurowi, ten zaś uznał je za godne ogłoszenia, co téż nastąpiło w r. 1727; nie chcąc jednak autora narażać na drwinki ówczesnych uczonych, zataił jego nazwisko. Długo wszakże upierano się przy dawniejszém mniemanin, i dopiero piękne doświadczenia Trambey'a przekonały ogół ostatecznie, lubo, jak wspominają roczniki naukowe, jeszcze w 1832 r. znalazło się kilku uczonych, wierzących iż korale pod wodą są miękkie. Takto fałsz daleko łatwiéj się szczepi aniżeli prawda — tylko że dłużéj trwać od téj drugiéj nie może.

Gdym się zastanawiał nad temi okolicznościami i pilnie przypatrywał ułowionym koralom, uczułem lekkie

dotknięcie; prędko więc zwróciłem się w tę stronę. Przedemną stał mój dobry znajomy, stary wilk morski w rodzaju Petit'a i Marchai'go, których dał nam poznać nieco szacowany Jakób Arago, w swéj podróży naokoło świata.

— Czego chcesz, mój Requin? (tak się bowiem zwał), zapytałem stojącego przedemną dzielnego marynarza.

— O bah! czego chcę? gapię się podobnie jak i pan na te skały.

— Jak to, mówisz skały? Więc nie wierzysz że korale są roślinami, że pod wodą są miękkie, a dopiero na powietrzu twardnieją? zadałem pytanie Requinowi, chcąc się dowiedzieć jakie też prości marynarze mają w tym względzie wyobrażenia.

— O co to, to już za wiele; robizs z mię pan głupcem większym aniżeli jestem. A toż pierwszy lepszy junga wié co sądzić o pańskiém mniemaniu. I choćbyś mi nietylko pan powiedział, że te skały są miękkie pod wodą, ale wszyscy uczeni świata, to nie uwierzę. niech mnie rekin, mój dziaduś, jak kiełbika połknie! Oto posłuchaj pan co mu powiem, a jeżeli ta historya nie przekona go iż znajdujesz się w grubym błędzie, to już nie będzie moją winą.

Lat temu ze cztérdzieści, byłem naówczas młodym, ale dzielnym chłopakiem, płynęliśmy na pięknéj korwecie Louis ekspedycą na Karoliny, a między wielą uczonymi, których wieźliśmy z sobą, był niejaki pan Véron, zawołany w swym fachu Zwali go naturalistą, ale mało on wychodził na pokład, a mniéj jeszcze na ląd; strasznie się bowiem obawiał ludożerców, choć był chudy jak szczapka. Siedział więc ciągle w kajucie, pisał bardzo dużo i czytal z wielkich książek. Otóż ten Véron także utrzymywał że korale pod wodą są miękkie. Przekonał się jednakże o swym błędzie, tylko w sposób niezbyt godzien zazdrości.

— Jakimże to sposobem, mój Requin? zapytałem ciekawy.

— A!... nadzwyczaj prostym. To wielkie słone jezioro, zwane oceanem, po którém dziś tak sobie wesoło pląsamy, nie było wówczas tak łaskawe. Rozgniewało się na nas, a bawiąc się naszą łupinką podrzucało ją, podrzucało, aż rzuciło na Sahia de Malha. Ot, mówiąc prościéj, rozbiliśmy się. — Nie będę panu opowiadał téj strasznéj chwili — i niech mnie rekin połknie, jeżeli życzę sobie podobnéj w życiu... To tylko mogę powiedzieć, iż gdy wszystko było stracone, gdy okręt szedł na dół jak dziurawa cholewa, chwyciłem się pływającego okseftu po wypitéj wodzie. Na tym ruchomym statku oczekiwałem dnia bożego z niecierpliwością... Rozmyślałem nad swojém położeniem... a rozmyślanie wcale nie było wesołe; bo choćbym uszedł śmierci w głębiach oceanu, to czekała mnie śmierć głodna na beczce... A gdyby też w jéj wnętrzu znalazło się co do pożywienia? — zadałem sobie pytanie, bo głód mi dokuczał.



Polipy.

Zaglądam więc przez olbrzymi otwór, i, o dziwo! na dnie znalazłem... śpiewającego pana Véron. Wierz mi pan, że gdybym był zobaczył rekina niebyłbym się bardziéj rozgniewał. Porywam pana Véron za rękę i budzę go nielitościwie.

— Wstawaj, trutniu uczony! krzyczę na niego.

Z trudnością otwiera oczy, przeciąga się, roztwiera gębę i pyta swoim zwyczajem:

— Czy korale są miękkiém zielem w morzu, czyli téż skałą?

Pomimo smutnego położenia, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu.

— No, panie Véron, wołam, wstawaj, a przekonasz się.

Uczony wychylił ostrożnie głowę ze swéj kryjówki, spojrzał po morzu, na niebo, na mnie — zbladł i zrozumiał wszystko. Mogę panu zaręczyć, iż wtedy najdoskonaléj, najmocniéj uwierzył, że skały koralowe nawet pod wodą są twarde.

Opowiadanie Requina wprawiło mnie w zadumanie. Gdyby każdéj prawdy, każdego spostrzeżenia dochodzić wypadało takim sposobem, jakżeby ludzkość nizko stała w swych wiadomościach. Szczęście jednakże iż nie wszyscy uczeni są podobni do pana Veron.

* * *

Teraz zajęły całą moją uwagę korale i to wszystko co się do tych ciekawych stworzeń odnosi. Aby utworzyć sobie dokładny ich obraz, tudzież pogląd na wszystkie anatomiczne i fizyologiczne stosunki polipów, najlepiéj będzie przypomnieć to, co napisano o polipach wód słodkich; nic bowiem w ich przyrodzeniu niema tajnego dla oka naturalistów, są zaś doskonałym typem wszystkich zwierząt do tego oddziału należących.

Do korzeni roślin wodnych, w stawach mojego kraju żyjących, znaleść można często te zwierzątka przy-

czepione i silnie się trzymające. Nazywając polipy zwierzątkami, możeby niejeden wniósł iż mają one kształt rybki, węża lub pijawki. Otóż sądząc tak, w wielkim byłby błędzie; polipy bowiem wód słodkich żadnego z tych kształtów nie posiadają, a są poprostu podobne do rureczki, okręconéj mnóstwem niteczek. Ale i to porównanie jeszcze nie jest dokładne, gdyż polipy zwana *stułbiami* (Hydra) mają nader zmienną postać i wielkość, a to w skutku niezwykłéj rozciągalności swego błonkowatego ciała. Kiedy stułbia jest w dobrym humorze, to jest gdy się naje, rozdyma wtedy swoje ciało na cal i więcéj; gdy zaś niebezpieczeństwo jéj jakie zagraża, kurczy się w galaretowatą masę, wielkości główki od szpilki. Wspomnieliśmy że stułbia wtedy jest w dobrym humorze gdy się naje; jest to rzeczą bardzo naturalną, całe bowiem zwierzątko składa się tylko z żołądka i narzędzi do chwytania zdobyczy, a łowy jego uskuteczniają się w nader zadziwiający sposób. Stułbie, spodnią częścią ciała przyczepioe do rośliny, czatują na zdobycz, rozpostarłszy owe niteczki, któremi ich pyszczek jest otoczony, nakształt siatki z licznych złożonéj promieni. Niteczki te. zwane mackami, zaopatrzone są najczęściéj w haczyki, lub też w pęcherzyki, mieszczące w sobie zaostrzony kolec. U niektórych, zamiast wyżéj wzmiankowanych narzędzi, umieszczony jest na długiéj nitce haczyk lub gałeczka, tak urządzona iż dowolnie już wysuwaną, już wciąganą być może. Gdy więc stułbia swe ramiona rozłoży i z nich haczyki lub gałeczki powysuwa, wszystko popłątawszy w siatkę, i nic dziwnego iż każde stworzonko, któreby się nieostrożnie do téj zdradzieckiéj matni zbliżyło znajdzie niechybną śmierć, gdyż obrzucone ramionami, natychmiast dostaje się do żołądka stułbi, gdzie w krótkim czasie zostaje zupełnie strawioném.

Wspomnienie z podróży.

(Cząg dalszy).

III.

To co powiem zadziwi zapewne Pana: — w piątek i dni następnych ani matka, ani dziecię na myśl mi nie przyszło; projektowana operacya z absorbowała mię całego. — Zdawało mi się, że powodzenie jéj jest niechybne... z góry tryumfowałem. — Ani cierpienia dziecka w chwili operacyi, ani tortury moralne matki, przypuszczeń tych nie mięszały.

W niedzielę czułem się bardzo poruszony i znerwowany. Całą noc oka nie zmrużyłem, książka nudziła... a każde inne zajęcie było mi wstrętne. Czułem jednakże, że rozerwanie umysłu było konieczne i dlatego postanowiłem użyć za miejskiéj przechadzki. Bez straty czasu wyszedłem z domu kierując się ku parowcowi który miał mię zawieść do Saint-Cloud.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wchodząc na statek pierwszą osobę którą spostrzegłem była pani Bronisława... z dzieckiem na kolanach. Na ten widok niespodziewany przeszła mi myśl nierozsądna przez głowę, że matka z dzieckiem ucieka odemnie.

— „Gdzie pani jedzie?“ zapytałem szorstko zbliżając się ku niéj.

Uśmiech zdziwienia był pierwszą odpodwiedzią, następnie robiąc mi miejsce przy sobie:

— „Nierozumiem pańskiego pytania“ odpowiedziała z jakąś naiwną niedbałością. „Zaleciłeś pan świeże powietrze dziecku. Zdaje mi się, że za miastem znajdę cień i murawę, gdzie wypoczywszy godzin kilka i posiliwszy się przekąską będziemy mogli wrócić rzezwiejsi do miasta. Ale jeżeli mam prawdę panu powiedzieć jestem w ambarasie co do wyboru miejsca. — Przybywasz pan w samą porę.“—

Nie umiem sobie wytłomaczyć dla czego na te wyrazy pełne prostoty odpowiedziałem jakby z desek teatralnych wziętym frazesem:

— „Pani jesteś za młoda i za wiele mająca wdzięków, byś mogła sama podróżować w tłumie podobnym.“

Na te słowa pani B... podniosłszy głowę rzekła z niewypowiedzianą naturalnością:

— „Przypuszczam, że nie jestem brzydką — wiem że niejestem starą; ale to, co pan widzi we mnie pięknem niejest tego rodzaju ażeby mógło ośmielić do niegrzeczności pierwszego lepszego przechodnia. Co zaś do serca, nie jest ono tak młode, jakby się panu zdawać mogło. Zestarzało się prędko; z kąd innąd znowu, nauczyłam się oddawna opiekować sama sobą.“

„Zgadzam się! w każdym razie dziecko na ręku nazbyt ją męczyć musi i to właśnie ośmiela mię do ofiarowania pomocy. Proszę niezapominać, że jutro sił potrzebować pani będziesz.

Na to przypomnienie pobladła.

— „Czy mi pozwolicie być przyniem?... czy mi pozwolicie je trzymać?“... zapytała ze łzami w oczach.

— „Nie przypuszczam“ odpowiedziałem „Obecność podobnych pani osób w takich wypadkach jest więcéj szkodliwą niż użyteczną..... Nie stosuję tego do pani i jutrzejszego przejścia... ale wyjątki prawie nigdy nie są tolerowane. —

— Westchnęła z wyrazem poddającym się konieczności i utkwiła wzrok w brzeg rzeki uchodzący przed nami; następnie zwróciwszy się ku mnie:

— „Czy to będzie długo trwało?“

— „Rzecz jednéj chwili... dwie, trzy, cztery minuty najwięcéj.“

— „Wszak pan mówiłeś, że ono nic czuć nie będzie?“

— „Nic a nic, powtarzam to pani“

— „Teraz zaczynam wierzyć że Bóg ma swe dnie łaski. — Zdaje mi się, że miłość dla niego znowu powróci. — Kiedy te małe nóżki chodzić będą“ dodała pieszcząc je w rękach „z głębi dnszy westchnę do Bog ... wierzyć w Boga jakąż jest ulgą tu nam na ziemi“—

Te religijne wykrzykniki zdziwiły mię nieco, co łatwo pan sobie wytłomaczy pomnąc, że naczytawszy się Voltaira i Roussów wierzyłem w potęgę sztuki, a nie Boga. Z kąd innąd znowu dnia tego nic nie uznawałem. Zwykle byłem bardzo nieśmiały do kobiet, tym razem jednakże, bez względu na pośmiewisko kolegów widzących mnie spacerującego en famille, bez względu na nieświadomość pochodzenia i sytuacyi nieznajoméj, śmiało ofiarowałem się jéj towarzyszyć. — Mimo tego zacząłem zimno zastanawiać się nad zachowaniem się niespodzianéj towarzyszki podróży.

Po mimo namyślu i dość długiéj obserwacyi nie mogłem nic jednak wywnioskować o jéj pozycyi socyalnéj. Żałoba równa wszystkich. — Pozostały więc d studiów, obyczaje życia i ułożenie które często prawdę zdradzają nawet oczom mniéj doświadczonym.

Pani Bronisława... wstała, oddaliła się trochę odemnie i bawiła dziecię wskazując na czarujące widoki ciągnące się wzdłuż rzeki. Począwszy od głowy aż do malutkich i wygiętych stóp, które, wiatr pawiewując suknią oczom mo m odsłonił, wszystko w naturalnéj było zgodzie. Rzadka mięszanina wdzięku i powagi; ręce delikatne i noszące piętno arystokratycznego próżniactwa

dziecko nawet miało wyraz małego książątka jakby wyszłe z kołyski usłanéj łabędzim puchem i okrytéj pajęczą koroną.

Zbliżyłem się do nich i przedstawiłem pani Bronisławie... plan spaceru na który bez wahania się przystała. Ch dziło mi oto ażeby wybrać miejsce na łące kwiecistéj i pachnącéj, w cieniu drzew, gdzie samotność zwykle ma więcéj powabu. Na wszystkie propozycye posłuszna towarzyszka zgadzała się bez najmniejszego oporu, jakby przez poszanowanie człowieka który trzymał w ręku przeznaczenie jéj dziecka.

Wszystko według planu wykonane było. Dziecię, wciąż oparte a matkę, gdy spostrzegło pływającą trzcinę, lub gdy mogło zerwać wiszącą nad wodą wierzbę i kwiat jaśminu, albo też gdy łódki małe uciekały od fali naszego statku, wykrzykiwało radośnie klaszcząc w małe dłonie. Matka nic nie mówiła a tylko wpatrzywszy się w swą istotkę małą, dzieliła z nią każdy objaw radości i od czasu do czasu pocałunkami obsypywała. — Ani matka ani dziecko nic nie mówiło; wzajemne pieszczoty były wymowniejszym językiem. Uśmiech dziecęcia miał w sobie coś dziwnie smutnego, czułego i słodyczy niewypowiedzianéj. Nie sądz pan że to w ówczas zebrałem te wszystki wrajenia które mu dziś opowiadam... uprzytomniły się one późniéj i Bóg wie czy kiedy z pamięci je utracę.

Około godziny piątéj po południu zatrzymaliśmy się w miejscu wolnem od natłoku i tam obiad zjedliśmy. Pani Bronisława... przyjmowała wszystkie usługi a nawet ślepo szła za najmniejszą moją wskazówką. Dzień minął jakby sen. — Gdyby mię kto postawił w śród zaklętych królewien i poddał pod rozkazy zaczarowanego księcia, niewięcéj by mię to zdziwiło. Jednakże przy całem tem oczarowaniu nie byłem we właściwem sobie usposobieniu. Nieraz pytam dziś siebie czy tego rodzaju jéj postępowanie pochodziło z niedoświadczenia, czy też z objętności? Czy się nie domyślała że ta uległość, lub raczéj czy się nie troszczyła o wpływy jakie ta uległość na mnie wywrzeć mogła? Rozebrawszy to wszystko zdaje mi się, że nie miała na uwadze ani siebie, ani mnie i tylko cała zajęta była rozrywką dziecka.

Przed zajęciem miejsca przy stole zdjęła kapelusz, następnie lekki czepeczek i w tenczas to właśnie widziałem ją w całym blasku. Długie włosy otaczały kształtną głowę, okrycie z ramion spadało, a w fałdach jego ginęła giętka figura gdzie niegdzie rysując się z pod czarnéj bez żadnych ozdób sukni. — Z powrotem opowiadaliśmy sobie przyjemności i korzyści zrobionego spaceru. Te same u brzegu łabędzie te same wody, te same kwiaty w tymże samym cieniu, wszystko zdawało mi się teraz piękniejszem. Gdyśmy stanęli u drzwi domu w którym mieszkała, była właśnie godzina spoczynku dziecka. Pomimo, że żadnym wyrazem nie upoważniła mię do tego, bez myśli prawie szedłem za nią na schody. —

— „Podziękuj panu" rzekła do dziecka „za czas tak mile i pożytecznie spędzony"

Posłuszne dziecko powtórzyło wyrazy wskazane a następnie z własnéj pobudki dodało:

— „Dziękuję za te piękne kwiatki i za te duże ptaki co po wodzie pływały"

Matka zaś podając mi rękę rzekła:

— „Jeżeli pan uleczysz to dziecko... jeżeli ono będzie po tych łąkach po których chodziliśmy, biegać swobodnie, uwierzę w Boga opiekuna i dobroczyńcę. — Wiarę tę użyję by wybłagać u Niego błogosławieństwo dla pana. Będę błagała by wszystkie życzenia pańskie urzeczywistnione były, by życie całe było pełne szczęścia aż do dnia ostatniego, by mu towarzyszyło to wszystko, co czułość matki i miłość dziecka dla uprzyjemnienia życia dać może."

Podała mi raz jeszcze rękę, którą schwyciłem i konwulsyjnie ścisnąłem..... poczem, nieprzytomny prawie wybiegłem na ulicę. Ostatnie jéj wyrazy jakby we śnie gorączkowym brzmiały mi ciągle w uszach... Chciałem się oddać pracy. Próżne usiłowania! myśli zebrać nie mogłem. Nie powinieniem w całości przypisać tego stanu wpływowi pani Bronisławy... pochodziło to w części i ze zmęczenia fizycznego i moralnego. Jednakże ten stan gorączkowy nie był bez powabu. Sny rozkoszne... obrazy cudowne jak w panoramie zmieniały się w imaginacyi. Usnąwszy obijał mi się o uszy jéj głos dźwięczny, a wyrazy przy pożegnaniu powtórzone... błogosławiące uczuciem matki i miłością dziecka... na chwilę pamięci nie opuszczały. Przebudziłem się! zdawało mi się, że widzę w końcu łoża, rysującą się tę postać pawiewną, tę głowę misterną, te nóżki małe, te rączki drobne i od tego widma oczu oderwać nie mogłem. Zerwałem się wpatrując w ten cień czarny i oczom nieufając krzyknąłem: Boże! któż to jest przy mnie! Taka piękna... smutna i łagodna jak siostra miłosierdzia... idealna i poważna jak matka Chrystusowa!...

Wystaw więc pan sobie jak dnia następnego, po nocy w ten sposób spędzonéj musiałem być wzburzony... co więcy jeszcze, był to dzień operacyi którą z osłabioną wiarą, pod okiem zwierzchnika odbyłem. Dzięki Bogu wszystko poszło szczęśliwie a Doktór R. niespodziewając się takiego rezultatu, powinszował mi publicznie i rękę w obec licznych świadków uścisnął. —

W téj chwili właśnie, zatrzymał się i utkwił swój wzrok badawczy w oczy moje.

— „Wszystko to dobrze" rzekł z powagą „ale teraz chodzi mi o pana. — Wyraz pańskiéj twarzy bardzo mi się niepodoba. Chętnie dam panu urlop... albo lepiéj jeszcze pojedziesz pan ze mną. Wyjeżdżam za granicę do księcia F. rannego w pojedynku. Dziś rano wezwanie telegramem otrzymałem.

Nie wiem jakim wybiegiem uwolniłem się od ojcowskiéj ofiary, ale w głębi z téj tylko przyczyny, że na chwilę nie chciałem opuścić szpitala.

Podziękowania pani Bronisławy były gorące i serdeczne — co zresztą łatwo pan sobie wystawi. Jednakże dziwne one na mnie wrażenie robiły. Byłem niemi zachwycony a w duszy przestrach przéjmowały.

Ona nieopuszczała dziecka, strzegąc go w oddzielnym pokoju dnie i noce. Było to nawet wykroczenie przeciw przepisom... ale czegożbym wówczas na jéj prośby niezrobił. Dwadzieścia przynajmniéj razy na dzień dowiadywałem się o stanie zdrowia, które ciągle się polepszało i nic nie zostawiało do życzenia. Matka była uszczęśliwiona... uważała na każdy mój wyraz i radę; przez wdzięczność okazywała mi słowami i uśmiechem tyle przyjaźni, że to mogło, że to musiało zawrócić głowę; ale nie... czyli raczéj tak!... Chwilami byłem prawie nieprzytomny; a przytem obawiałem się.. z każdym dniem przestrach się zwiększał. W krótce miałem się dowiedzieć przyczyny tych wewnętrznych cierpień i razem usprawiedliwić tajemnie przeczucie, trawiące mię bezustannie.

Dziś nawet nieumiem sobie wytłomaczyć przyczyny śmierci tego dziecka. Tak jak już poprzednio powiedziałem, operacya powiodła się szczęśliwie, po któréj niezauważałem najmniejszych objawów zapalenia. Zdawało mi się, że wzmocnić się mogło i że żyć musiało. Niezbadane są wyroki Boga! Być może już od chwili przyjścia na świat, nie miało ono w sobie dostatecznych sił do rzzwinięcia się; być może z góry skazane było na koniec podobny. Od początku choroby aż do chwili ostatniéj nieskarżyło się i niepłakało nigdy. — Obecność matki była tego przyczyną. Tylko po czole wilgotném i po wyrazie oczu rozpoznać było można jego cierpienie. Ach! te oczy... oczy!... ileż razy je wspominam!... i pytam siebie czy w ten sposób patrząc niechciały mi dać poznać cierpień które zwolna życie trawiły.

Przed łóżkiem gdzie dziecko leżało, było prawie zawsze okno otwarte, za którém, o ile sobie przypomi-

nam stała modrzew usychająca. Przy zachodzie słońca, kiedy wiatr nieco się podniosł cień drzewa migał się po małem łóżeczku. Poruszenia te bawiły dziecko tak, że na prośby jego prawie nigdy rolosy spuszczane nie były.

Kiedym przyszedł trzeciego dnia około godziny szóstéj, cień drzewa tak jak zwykle migał się po twarzyczce dziecka śpiącego.

— „Czy nietrzeba go obudzić“ zapytała pani Bronisława biegnąc na spotkanie z wyrazem niepokoju „już od kilku godzin nic nie jadło, a zdaje się, że dziś jest słabsze, niż dni poprzednich.“

— „Czy od dawna już spi?

— „Mniéj więcéj od pół godziny“ odpowiedziała patrząc na zegarek „W chwili kiedy mu podawałem bułeczkę z winem, zasnęło uśmiechając się do mnie“.

Kiedy to mówiła, ja obserwałem dziecko. Dziwna jakaś bladość jego twarzy dreszczem mię przejęła

— „Trzeba go natychmiast obudzić“ rzekłem nie wiedząc co mówię „Ten sen twardy więcéj zły niż dobry wpływ robi“

Pani Bronisława pochyliła się ku niemu... serce mi biło gwałtownie.

— „Aniołku!... aniołku“... z cicha wymówiła całując czoło dziecka „obudź się... otwórz oczki!.....

Ani oddechu ani najmniejszego poruszenia.

Pani Bronisława... podniosła głowę i patrząc mi w oczy rzekła jakimś dziwnym tonem:

— „Zimno mu jest... ręce chłodne.

Zbliżyłem się do łóżka... dotykałem pulsu.. słuchałem oddechu, ale... wszystko na próżno.

Zażądałem flaneli i nią tarłem ciało już martwe. Wszystkie środki przywrócenia życia okazały się bezskuteczne.

Podczas kiedy matka przygotowywała mu pokarm ono zasnęło na wieki, a ten uśmiech na ustach był uśmiechem osób które już nigdy obudzić się niemają. —

Pani Bronisława klęcząc przy łóżeczku patrzyła to w oczy dziecka... to w oczy moje, aż nim ostatnia iskra nadziei niezgasła. Kiedy już fakt stał się pewnym, podniosła się, wyprężyła się i milcząc nieruchoma stała.

Starałem się uniknąć jéj wzroku, ale wola matki potężniejszą była; w końcu spojrzenia nasze spotkały się z sobą. Zadrżałem od stóp do głowy... schyliłem się pod jéj wzrokiem. Zdawało mi się że jestem podłym, zbrodniarzem i że ma prawo nazwać mię zabójcą.

Zwolna... i ciągle patrząc mi w oczy podniosła ręce, skrzyżowała je nad głową i usta miały wymówić dawno przyrzeczone przekleństwo. W przód nim wyrazy obiły mi się o uszy, straciłem siły i odwagę do reszty; zachwiałem się i jakby piorunem rażony padłem bezprzytomności na ziemię. —

ROZMAITOŚCI.

Nowy przyczynek do badań komisyi lingwistycznéj

Po obiedzie wyrżnąłem sobie drzymkę — potem zapaliwszy cygaro rżnę do Dębiny — kapela wyrzynała rozmaite Trombochrapy (Chromatropy) — w jednym kawalku coś się publice spodobało; jak zaczną rznąć brawo, aż liście z drzew spadały! — W tem oglądam się, a tu Józio stoi przedemną: — „A! jak się masz? kiedyż przyrżnąłeś do Poznaniu?“ i dalejże w gawędę. — Wyrżynamy się więc cichaczem z ogrodu i wstąpiliśmy do Leonka: dalejże kieliszek po kieliszku. aż się tak urżnęliśmy, że ani ręką, ani nogą! — Wsadzają nas do dorożki i rżniemy do miasta. Do domu przybywszy słyszę krzyk służącego. — Co to? — Służący powiada: „proszę pana, Jasiek mnie rżnął w pysk!“ — To go oderżnij zawołałem i wszedłem do mieszkania. — Lecz widać kupiec nas orżnął — musiało wino nie być czyste, bo dostałem takiego rżnięcia.....! Co tu robić? — jak wyrżnę kieliszek koniaku, jak się rżnę do łóżka, tak do rana przerżnąłem na jednym boku. — Dziś oto jadę z Józefkiem na wyrżynki, i zapewne znowu będzie rżnięcie.

Żywotne kwestye.

— „Jacy pisarze są najkosztowniejsi?“
— „Piszący na papierze stemplowym.“

— „Jakie obwody w kraju naszym są najmniéj ludne?“
— „Krynoliny, bo w każdéj jest jeden tylko mieszkaniec.“

— „Dla czego tak mało ludzi jest za żydami?“
— „Bo żydzi nie lubią nic zostawiać za sobą.“

Ostatnie telegramy.

Z prowincyi: Aresztowano pewnego jegomościa, który w dzień postny tłusto wyglądał. Święta inkwizycya dozwoliła niektórym panom mieć maślane głowy.

Ze Lwowa: W Galicyi cichość panuje; nawet brzęku monety nie słychać.

Z Warszawy: Powietrze duszące, a chrypka staje się chorobą chroniczną, bo nikt głośno nie może mówić.

Z Krakowa: Wydział nauk przyrodzonych przy rozbieraniu własności owadów, uznał że nie mają poznania; jedyny wyjątek w tém stanowią szwaby.

Z Torunia: Na mityngu kobiet udowodniono, że dawne gospodynie znały się na kuchni, a teraźniejsze na gotowalni.

Szarada.

Drugiego z pierwszym szukaj we wschodnich narodach;
Wspak pierwszy i zabije, gdy mu się nadarzy.
Wszystek dobry zarówno na lądach jak wodach,
I nawet często ludzkie losy waży.

(Rozwiązanie szarady w nr. 31: ***Profesorowie.***)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Filipowi pod Inowracławiem: Zakres pisma naszego nie obejmuje kwestyi politycznych, praca więc pańska przyjętą być nie może. Panu Medykowi w Berlinie: Obserwacie pańskie nad ciałami niebieskiemi i ziemskiemi, zbyt są nieprzyzwoite i bez dowcipu. Pozwala nam to wnosić, że zdolność pańska więcéj ku gastronomii, niż astronomii się nachyla. Pani Julii S. pod Wrześnią: Uwagi jéj są bardzo trafne i ze znajomością rzeczy napisane. — Gdybyś pani podjęła się w innéj formie je obrobić, chętnie byśmy w piśmie naszym umieścili. Panu Alfredowi K.: Z zakroju widać, że może być chleb z téj mąki, tylko trzeba świeżego. Panu A. R. pod Gnieznem: Scrdecznie dziękujemy.

Nakład i redakcya księgarni M. Leitgebra i Spół. (M. Leitgeber i St. Tyłodziecki w Poznaniu). Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu